

STANISŁAW
KRZEMIŃSKI

od **WSCHODU** *do* **ZACHODU**

UCIECZKA

Współpraca: **WANDA KRZEMIŃSKA-HAJNICZ**

MARGINESY

COPYRIGHT © Stanisław Krzemiński

COPYRIGHT © BY Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2023

Published by arrangement with Beata Stasińska Literary Agency

BAL U SENATORA (fragment)

MŁODY CZŁOWIEK

Patrz, jak on łasi się i liże,
Wczora mordował, tańczy dziś!
Patrz, patrz, jak on oczyma strzyże,
Skacze jak w klatce ryś.

DAMA

Wczora mordował i katował
I tyle krwi niewinnej wylał;
Patrz, dzisiaj on pazury schował,
I będzie się przymilał.

Adam Mickiewicz, *Dziady* część III, scena VIII



Płock, Wzgórze Tumskie, rys. z natury A. Kozarski (ok. 1857)

ROZDZIAŁ 1

Bal

(maj 1857)

– Teraz proszę zdać się na mnie... I na taniec – posłyszała Emilia.

Skupiła się więc tylko na tym, by jej kroki były płynne i nie wyprzedzały muzyki. Czuła na sobie spojrzenie hrabiego Gołubojewa. Sama nie miała odwagi na niego patrzeć, więc rozglądała się dyskretnie po sali, szukając wzrokiem rodziców. Mężczyzna lewą ręką lekko kołysał nią w tańcu, drugą trzymał za plecami. „Jak przy pojedynku” – zdążyła jedynie pomyśleć, bo rytm gwałtownie przyspieszył. Męska dłoń stała się nagle stanowcza, a beczynna dotąd ręka objęła dziewczynę mocno w pasie i przyciągnęła do eleganckiego fraka.

Jedynym męskim strojem, który do tej pory oglądała z tak bliska, była bonzurka, kiedy ojciec w dzieciństwie brał córkę na kolana. Potem, całując przed konfesjonałem stułę, widywała tuż przed sobą sutannę księdza Muszyńskiego. Teraz patrzyła na jedwabny fontaż i długie wyłogi fraka. Przez balowe rękawiczki przebijało ciepło dotyku hrabiego; odurzały ją zapach jego wody kolońskiej oraz poczucie, że dół seledynowej sukni fruwa za nią w powietrzu.

„Nawet nie muszę zastanawiać się nad kolejnymi krokami” – przemknęło jej przez myśl, kiedy mężczyzna zakręcił nią jak frygą.

Wszystko w tym tańcu działało się pod jego dyktando. Emilia miała wrażenie, że jej ciało słucha tylko jego. Przestraszyło ją to nagłe odkrycie, ale jednocześnie chciała, by ten walc nigdy się nie skończył.

Pan Augustyn Rossnowski z niepokojem wodził wzrokiem za córką. Para wirowała na środku sali, a tyle było w tych piruetach energii i siły prowadzącego Emilię tancerza, że coraz więcej osób im się przyglądało. Coroczny bal debutantek, rozpoczynany zawsze w niedzielę przed południem, stanowił swoiste okno wystawowe młodziutkich panien, które kończyły okoliczne pensje. Od kilku lat, pod koniec maja, cały Płock i sąsiednie miasta żyły tym wydarzeniem. Na dwa miesiące przed egzaminami we wszystkich szkołach dla dziewcząt organizowano kursy tańca. Ćwiczone polki, mazury, kadryle, polonezy i walce, choć te ostatnie w bardzo stonowanej formie. Matki namawiały mężów na zakup sukien, a dziewczęta szeptały między sobą o krojach i zdobieniach. Nauczyciele w przedbalowym ferworze usiłowali przygotować dorastające panny do kończących szkoły egzaminów: od francuskiego i literatury polskiej po matematykę i historię Rosji, nie mówiąc o religii.

Muzyka zwolniła. Hrabia znów prowadził Emilię tylko jedną dłonią.

– Kiedy orkiestra przyspieszy, proszę mi zaufać – odezwał się cicho.

Jeszcze przez chwilę kołysali się w powolnym takcie samotnych fletów. Włączenie się głośniejszych smyczków zmieniło gwałtownie rytm. Tym razem był jeszcze szybszy niż poprzednio.

Jedna ręka mężczyzny uniosła jej dłoń, druga objęła ją w talii. Wirowali w walcu, wtapiając się w jego melodię. Kiedy tancerz puścił Emilię, poczuła się swobodna, ale nie wolna...

Ku zgorszeniu patrzących tanecznym krokiem okrążyła hrabiego.

Migają słoneczne refleksy od okien, więc przymyka oczy.

Widzi kręcące się skrzydełka, które spadają ze starego klonu.

Seledynowa suknia wiruje szerokim kołem.

Słyszy brawa, ale nie wie, że klaszczą głównie panowie.

Emilię znów otaczają męskie ramiona.
Czuje na sobie dziesiątki oczu.

Zarządca płockiej guberni, generał Mark Jegorowicz Albertow, w nieskazitelnym fraku ozdobionym dwoma rzędami wojskowych baretek, pochylił się do ucha swej małżonki. Spoglądając na roztańczonego hrabiego, szepnął:

– *Wot mołodiec!* Patrz, jak te polskie damy pożerają go wzrokiem...

Pani generałowa rozejrzała się dyskretnie. Nie bez satysfakcji musiała przyznać mężowi rację. Dziewczęta siedzące przy matkach wyraźnie zazdrościły pannie doktorównie, a pozostałe tańczyły z zaciśniętymi ustami, ustępując miejsca panoszącej się na środku parze.

– Taka jestem dumna z naszej córki – szepnęła wzruszona pani Bogumiła. – Zobacz, panie mężu, jak ona pięknie wygląda! – Pochyliła się do pana Augustyna i ze zdziwieniem zauważyła jego rytmicznie zaciskającą się żuchwę.

– Nie powinna z nim tańczyć – mruknął przez zęby.

– A to czemuż, dobrodzieju?! Przecież on jest hrabią, podobno bardzo majątnym i...

– Później o tym pomówimy, moja pani – syknął.

Siedzący na parapecie okna redaktor „Gońca Płockiego” zanotował w kajecie:

Tegoroczny bal debutantek kończy brawurowe wykonanie przez orkiestrę jednej z najnowszych kompozycji pana Straussa syna, walc z opusu 175, pod wymownym tytułem Podwyższony puls. Zaiste serca wszystkich zabiły żwawiej, gdy patrzyli na tańczącą w objęciach hrabiego Gołubojewa pannę Emiliję Rossnowską, córkę chirurga w naszym grodzkim szpitalu. Ta drobna szatynka o szarych płonących oczach zadziwiła zebranych lekkością tańca i gracją ruchów.

W skromnej, ale gustownej jasnozielonej sukni obszytej jedynie koronkowymi zdobieniami oraz z wpiętymi we włosy białymi kwiatkami polnych różyczek mogła się prawdziwie podobać.

Kolejny powolny pasaż utworu zbliżał się do końca. Kątem oka Emilia spostrzegła, jak muzycy wstają na znak dyrygenta. Wyraźnie szykowało się *finale grande* walca, a tym samym i całego balu. Jeszcze zdążyła odnotować lekki uśmiech w kąciku ust hrabiego, kiedy gruchnęła muzyka silna i szybka niczym podmuch burzowej wichury.

Obie ręce hrabiego obejmują mocno jej talię.
Odchyleni od siebie kręcą się coraz szybciej.
Podrywa ją do góry i wiruje, unosząc ją jak piórko.
Twarze wokół zlewają się jej w różowo-biały bohomaz.
Odurzona tańcem rozpościera ramiona.
Nie widzi jego zwycięskiego spojrzenia.
Nie słyszy męskiego poklasku.

Hrabia postawił Emilię na ziemi. Dziewczyna zachwiała się i gdyby jej nie podtrzymał, mogłaby upaść. W głowie panny Rossnowskiej ciągle wirował walc.

– Dziękuję pani, panno Emilio, za tego walca – powiedział, kłaniając się.

Dziewczyna miała sucho w ustach i z trudem przełykała ślinę. Nic nie odpowiedziała, stać ją było tylko na głębokie dygnięcie; z trudem opanowała lekkie drżenie nóg.

Redaktor Czaplicki przed schowaniem notatnika zapisał pośpiesznie:

Finałowe pas balu w wykonaniu hrabiego Gołubojewa i śliczniutkiej panny Rossnowskiej wywołało poruszenie wśród męskiej części publiczności. Kilka dam wyrażało natomiast dezaprobatę dla zbyt śmia-

łych figur tanecznych jak na bal debiutantek. Któraś z pań suponowała nawet, że taneczna edukacja na pewnej płockiej pensji skandalizująco wybiega poza przyjęte w obyczajnym towarzystwie konwenanse.

– W domu porozmawiamy – rzucił pan Rossnowski i nie patrząc na córkę ani nie oglądając się na żonę, ruszył szybko do wyjścia z balowej sali.

Emilia o mało nie wybuchnęła płaczem. Ukochany papa nigdy jeszcze nie odezwał się do niej tak lodowatym tonem.

– Pięknie wyglądałaś. – Pani Bogumiła usiłowała pocieszyć pobladłą córkę. – Wszyscy na was patrzyli.

Kiedy dziewczyna miała prowadzone przez rodziców koleżanki z pensji, milkły rozmowy i dochodziły ją tylko podekscytowane szepty. Nagle zdała sobie sprawę, że oto znalazła się na cenzurowanym.

Na ulicy Piekarskiej razem z matką wtopiły się w tłum wracającej z niedzielnej sumy.

– W domu się przebierzesz i wieczorem pójdziemy na majowe – powiedziała matka takim tonem, jakby to nabożeństwo miało uspokoić jej własny rodzący się niepokój.

„Przecież ja niczego złego nie zrobiłam” – przekonywała w duchu samą siebie Emilia. Gdzieś w głębi serca czuła jednak, że jej myśli i pragnienia właśnie wyrwały się w nieznanne do tej pory, a nęcące rejony.

* * *

Hrabia Nikołaj Michajłowicz Gołubojew w szarych sztuczkowych spodniach i samej koszuli stał przed otwartymi drzwiami balkonowymi swojego apartamentu w Hotelu Berlińskim. Zdjęty przed chwilą frak niedbale rzucił wraz z muszką na krzesło. Obserwował, jak starozakonni kramarze właśnie kończą wyładować towar na stoiskach, gdy rozległ się dźwięk kościelnych dzwonów

zwiastujący koniec niedzielnej mszy. Od strony farnego kościoła Świętego Bartłomieja w czerń żydowskich chałatów zaczęły wtapiać się ciemnoszare surduty i wiktoriańskie krynoliny. Pomiedzy rude lisiury coraz gęściej wplatały się smoliste cylindry, jedwabne kolorowe chusty i strojne w kwiaty kapelusze.

Było wczesne popołudnie, czyli według swoich zwyczajów hrabia powinien udać się gdzieś na obiad, ale jeszcze nie czuł głodu. Wciąż upajał się ostatnim walcem.

„Nos mnie nie zawiódł – myślał z zadowoleniem. – To dziewczątka układało się jak rękawiczka”.

I znów dzwony przerwały jego rozmyślenia. Drugi strumień wiernych wlewał się na plac, płynąc od katedry Najświętszej Marii Panny.

Hrabia sięgnął po cygaro i obciął kapturek smukłego veguerosa.

„Ciekawe... Tańczyła na balu pierwszy raz, a nie bała się tego *adagio*. – Zaciągnął się płytko, bo dym na początku zawsze był nieco cierpki. – To stworzenie nie wie jeszcze, że powinno się bać”.

Od strony koszarowej cerkwi przy Czarnym Dworze zaroiło się od paradnych granatowych mundurów carskich oficerów. Na ten moment czekał chudy, tyczkowaty młodzieniec, by przy dźwiękach domorosłego grajka ruszyć po linie rozpiętej pomiędzy stojącą przed magistratem, obudowaną drewnem studnią a wieżą niedawno wzniesionego ratusza.

Nikołaj Michajłowicz obserwował linoskoczka, który rozpościerając ręce, utrzymywał chwiejną równowagę.

„Prawie jak przed godziną panna Emilia”. Uśmiechnął się do siebie na wspomnienie jej odurzonych tańcem oczu.

Im wyżej wspinał się linoskoczek, tym wyższe dźwięki mandoliny przebijały się przez gwar gromadzących się gapiów.

Nie było końca przeróżnym ochom i achom, chusteczkom przykładanym do ust w lęku o życie śmiałka, pospiesznym znakom krzyża przy każdym drgnięciu stóp na ledwie widocznej w powietrzu kresce.

Tymczasem hrabia nie mógł się opędzić od obrazu trzymanej w górze dziewczyny. Nie dawały mu też spokoju jego własne dłonie.

Linoskoczek objął zwycięskim gestem czubek ratuszowej wieży. Do czapki muzykanta sypały się kopiejki i szeleszczące ruble, więc chłopak ruszył przez plac, zbierając pieniądze. Gdy znalazł się pod hotelowym balkonem, Nikołaj Michajłowicz sięgnął do kieszeni, wyjął monetę i rzucił ją w dół. Czy rzut był tak celny, czy chłopak tak bystry, dość, że rubel wylądował w kaszkiecie muzykanta. Kilka osób zaklaskało. Hrabia poruszył palcami, w których jeszcze przed chwilą trzymał monetę, i znów poczuł w dłoniach kibić panny Emilii.

„To dziewczę jeszcze nie nosi gorsetu” – uzmysłowił sobie, unosząc cygaro do ust. Tym razem dym miał przyjemny miękki smak.

* * *

Z kościoła wracały bryczką o zmroku. Kiedy Szymon zatrzymał powóz przed dworkiem państwa Rossnowskich, przez okno dziewczyna widziała żółtawe światło naftowej lampy i ojca krążącego po gabinecie z cygarem w ręku.

– Idź na górę – powiedziała zaniepokojona matka. – Ojciec pali...

Przestraszona Emilia wbiegła na piętro do swego pokoju. Na mszy czuła się znowu jak uczennica pensji pani Audranowej. W szarej sukience do pół łydki, grubych trzewikach i płóciennym bereciku w niczym nie przypominała radosnej, roztańczonej dziewczyny sprzed kilku godzin.

– Pani żono, proszę do mnie! – usłyszała dochodzący z dołu rozkazujący ton ojca. – Najwyraźniej pani dobrodziejka nie zauważyła, że to dziewczę nie jest już dzieckiem... – dobiegło do niej jeszcze, a potem trzasnęły drzwi gabinetu.

W poczuciu bezradności Emilia rzuciła się na łóżko, przy którym wisiał sięgający sufitu kilim. Z boku, na wysokości poduszki, do wzorzystych wełnianych splotów tworzących wyblakłe orientalne kwiaty przypięty był ryngraf z Matką Boską, a z wiszącej na środku niewielkiej akwareli patrzyła na dziewczynę jej zmarła przed rokiem babka.

– Babuniu – szeptała Emilia – przecież ja naprawdę nie zrobiłam nic złego.

Twarz pani Cecylii pozostała nieruchoma. Spod czarnej koronkowej chusty spoglądała na wnuczkę chłodnymi szarymi oczami.

– A jeżeli coś zrobiłam, to nie wiem co... – usprawiedliwiała się dziewczyna, ale wzrok babki pozostał surowy. Emilia skryła twarz w poduszkę.

Na biurku leży dymiące cygaro oparte na popielniczce.

Pan Augustyn wkłada monokl pod lewą brew i marszczy ją tak, by przytrzymać szkło.

Sięga po książkę i otwiera na stronie zaznaczonej wełnianą zakładką.

Pani Bogumiła prostuje się na krześle i przetyka ślinę.

Mąż staje przed nią, stukając palcem w kartkę:

– Tu... tu... tu... na sto czterdziestej stronie podręcznika, który pani dobrodziejka sama kupiła... – mówi, niemal jękając się ze zdenerwowania, i tonem nauczyciela ganiącego uczennice za brak elementarnej wiedzy zaczyna czytać:

Jest taka cnota, która innym cnotom cenę nadaje, a bez której kobieta przestałaby prawie być kobietą: cnota, którą każdy delikatny mężczyzna pragnie widzieć w swojej siostrze, w swojej żonie i w swojej córce; cnota, która wzniciając miłość, uchyla niebezpieczeństwo, ponieważ nakazuje uszanowanie; tą cnotą jest przyzwoitość.

Doktor przerywa i spogląda na żonę przez monokl. Pani Bogumiła aż kuli się w sobie.

Po raz pierwszy małżonek patrzył tak na nią trzy lata po ślubie. Było to późną nocą. Maleńka Emilka, której wyrzynały się ząbki, zanosila się płaczem. Ona usiłowała uspokoić niemowlę, tuląc je do piersi. W drzwiach dziecięcego pokoju stanął nagle jej mąż. Poprzez szkło monokla wpatrywało się w nią z irytacją nienaturalnie powiększone oko.

– Pani żono – rozkazał – proszę marsz do naszego łóża!

Teraz ma podobne spojrzenie.

Doktor znów unosi książkę i czyta:

Jeśli młoda dziewczyna przypadkowo ujrzy się sama pośród mężczyzn, usunie się od nich bez przesady i zbliży się do swojej Matki. Tajemne przeczucie przestrzeże ją, że w jej wieku unikać należy oczu mężczyzn i im mniej stara się im podobać, tym więcej im się podobać będzie.

Pan Augustyn poprawia monokl, spogląda na żonę.

– Dobrodziejka zapomniała widać te nauki, którym sama kiedyś hołdowała.

„A Emilka tak ładnie dziś na tym balu wyglądała” – myśli z żalem pani Rosznowska, ale jej mąż jest nieubłagany. Upokarzająca lekcja trwa dalej:

Przyzwoita dziewczyna nie jest ani skromnisią, ani świętoszką; a jednak nikt z nią poufałości sobie nie pozwoli, atmosfera wstydlivosti, która ją otacza, jest dostatecznym jej zabezpieczeniem.

Znów karcące spojrzenie.

*Taka panna tak swoje powaby osłonić umie; z tajemnicami i sztuką powabności nieobeznana, że będzie kiedyś taką, jaką każda kobieta pragnąć powinna: przez jednego kochana, a szanowana przez wszystkich.**

Pan Augustyn odłożył książkę, zerknął na żonę i wyjął monokl. Wokół oka pojawiła się czerwona obwódka.

„Jaki on przygnębiony” – przemknęło przez myśl jego żonie.

– Pani dobrodziejko, zdecydowałem o przyszłości naszej córki – odezwał się ciszej, zmęczonym głosem. – Nie dam Emilki na zmarnowanie. – Przypalił wygastę w połowie cygaro. – Proszę mnie zostawić samego.

Pani Bogumiła chciała o coś zapytać, ale widząc, jak mężowi nagle opadły ramiona, uznała, że lepiej będzie wyjść bez słowa.

* * *

Nie było jeszcze siódmej, kiedy bryczka wjechała przez bramę na tyły żółtawego piętrowego budyneczku przy Dominikańskiej. Głośne ujadanie uwiązane na łańcuchu olbrzymiego psa spłoszyło konia.

– Ażby cie, diabelskie nasienie... – zaklął Szymon, zeskokczył z kozła i zaczął uspokajać białą klacz, poklepując ją po pysku.

Na odgłos szczekania w oknie na parterze poruszyła się franka.

– Niech Szymon nie czeka na mnie. – Doktor Rossnowski wziął do ręki wysłużoną lekarską torbę i wysiadając z powozu, dodał: – Potem pójdę pieszo do szpitala.

– Jak pan doktor życzy, ale na to bydle to trza uważać, bo jak się ta sabaka urwie... – Woźnica pokręcił głową, po czym pospiesznie wskoczył na kozioł, lekko smagnął batem, cmoknął: „Nu, ru-

* Cytaty pochodzą z książki Jeanne Lucile Sauvan, *Przestrogi i rady przydatne matkom i nauczycielkom*, przeł. L. Ł***, Warszawa 1843.

szaj”, i pociągnął za lejce. Po chwili zniknął z podwórca głównego urzędu pocztowego gubernialnego miasta Płocka. Doktor na wszelki wypadek nie zbliżał się do warczącego i odsłaniającego białe zębiska zwierzaka.

Naczelnik poczty Piotr Fajko opuścił zasłonę. Wizyta doktora Rossnowskiego o tak wczesnej porze oznaczała pilną sprawę, a on nie zdążył się jeszcze ubrać. Drepcząc do wejścia, naciągnął w pośpiechu kurtkę munduru i nerwowo dopinał metalowe guziki zdobione dwugłowym orłem, by jak najszybciej powitać niespodziewanego gościa.

Otworzył drzwi.

– Nero, spokój! Do budy! – wrzasnął na psa, a ten schował się natychmiast z podkulonym ogonem.

– Moje najniższe uszanowanie panu doktorowi. – Poczmiistrz uklonił się i gestem zaprosił pana Augustyna do środka.

Siedzieli naprzeciw siebie w niewielkim saloniku. Dzielił ich okrągły stół i leżące na nim trzy koperty z dwoma paryskimi adresami i jednym wiedeńskim. Doktor Rossnowski patrzył pytająco na naczelnika poczty, ten jednak uciekał spojrzeniem. Milczenie się przedłużało.

Wreszcie urzędnik przełknął ślinę i powiedział cicho:

– Panie doktorze, jestem tylko małym trybikiem w carskiej machinie. – Podniósł oczy. – Ot, jakiś tam czynownik dwunastej rangi. Ale ten czynownik ma swoje lata i wie, co może gwarantować, a czego nie.

– Ja tylko nie chcę, żeby ktoś poza panem dowiedział się o tych listach. To wszystko.

Poczmiistrz podniósł palec wskazujący.

– Ale chce pan je wysłać specjalnym kurierem... – zauważył.

– Przecież zapłacę – przerwał pan Augustyn.

– Panie doktorze. Znamy się nie od dziś. Zdarzało się, że słał pan w pośpiechu listy do Paryża i dostawał odpowiedź nawet po

tygodniu, najpóźniej dwóch. Ale wtedy, drogi doktorze... Wtedy nie było tu naszego dandysa Gołubojewa. – Ostatnie słowa poczmistrz wymówił z lekkim przekąsem.

„Znaczy, że plotka o balu już poszła w miasto” – pomyślał pan Rosznowski, ale spróbował raz jeszcze:

– Przecież pan mu nie podlega.

– Oczywiście, że nie. Ja podlegam radcy stanu, carskiemu urzędnikowi piątej rangi, księciu Aleksandrowi Golicynowi, dyrektorowi generalnemu Poczty Królestwa Polskiego...

– No właśnie – wtrącił doktor.

Poczmistrz tym razem nie pozwolił jednak sobie przerwać.

– ...ale w sprawie korespondencji zagranicznej – kontynuował – moim przełożonym jest generał Paniutin, urzędnik szóstej rangi, który niedawno objął stanowisko gubernatora wojennego w Warszawie. – Naczelnik popatrzył w oczy doktora. – On właśnie podpisał ukaz, w którym obliguje mnie do składania odpowiednich raportów ze szczególnym uwzględnieniem poczty kurierskiej urzędnikowi siódmej rangi kierującemu w naszej guberni wydziałem wojenno-policyjnym...

– ...a tym od miesiąca kieruje pan hrabia Nikołaj Michajłowicz Gołubojew – ponuro dokończył doktor.

– Zapomniał pan dodać, doktorze: hrabia i zarazem pułkownik...

– Pułkownik?! Przecież on nie ma nawet trzydziestki!

– No właśnie. Musi więc mieć dobrych protektorów w Moskwie albo i samym Pitrze*.

– Zostawię panu te listy, może coś pan wymyśli – z prośbą w głosie cicho powiedział pan Augustyn.

– Doktorze drogi, niech mnie pan nie stawia w takiej sytuacji. Pan leczy ludzi, pan zawsze zarobi na życie... – Naczelnik odsunął od siebie listy. – Proszę je napisać tak, żeby ten, kto je będzie czytał, nie mógł panu zaszkodzić. – Widząc zrezygnowaną minę

* Ówczesna potoczna nazwa Petersburga.

gościa chowającego koperty do kieszeni surduta, dodał cicho: – A tę najważniejszą korespondencję do Wiednia czy Paryża niech panu przewozi ktoś zaprzyjaźniony... – a po chwili milczenia rzucił: – Może jakaś kobieta?

Doktor Rossnowski czuł, że jest w potrzasku. Był przekonany, że od tych listów zależy przyszłość jego córki.

„Jutro pojedę do Warszawy – postanowił – i będę warował jak ten pies na stacji pocztowych dyliżansów idących na Paryż. – Sięgnął po koperty. – Może ktoś godny zaufania zlituje się i weźmie je ze sobą”. Wstał.

Poczmistrz patrzył na niego ze współczuciem.

„Widać, że bardzo mu na tych listach zależy” – pomyślał.

– Na pocieszenie – powiedział, wstając – opowiem panu anegdotę. Gołubojew zażądał ode mnie wykazu obywateli naszej guberni najczęściej korzystających z usług pocztowych kurierów na Paryż, Berlin, Londyn, Wiedeń i Rzym.

Pan Augustyn spojrział na niego zdziwiony.

– Anegdota będzie za chwilę. – Naczelnik uśmiechnął się. – Otóż niech pan sobie wyobrazi, że Nero tak poszarpał książkę kurierską, że pan Gołubojew nie mógł z niej nic odczytać. – Poczmistrz uniósł znacząco jedną brew. – A tak się składa, że wśród pięciu obywateli naszej guberni najczęściej korzystających z kuriera znajdował się pewien lekarz, ale ja nie pamiętam jego nazwiska...

Obaj wybuchnęli śmiechem.

„To dobry człowiek – pomyślał pan Augustyn. – Szkoda, że nie może mi pomóc”.

* * *

Ledwo Szymon zdążył ogarnąć oba konie państwa Rossnowskich, ledwo łyknął trochę kawy, którą razem z dwiema bułeczkami z wyniosłą miną podała mu Rozalka, gdy w drzwiach

pojawiła się, jeszcze w szlafroku, pani Bogumiła i jednym spojrzeniem omiotła kuchnię.

– Niech Szymon będzie tak dobry i za kwadrans zaprzęga. Pojedziemy z Emilką do miasta. – Tym razem lustrowała kredens. Podeszła i przeciągnęła palcem po rancie przeszklonych drzwi-czek, przez które widać było śniadaniowy komplet fajansowych filiżanek, kubków i talerzy.

– A Rozalka niech no tu przetrze kurze – powiedziawszy to, pani doktorowa odplynęła w stronę małżeńskiej sypialni.

„Na pewno teraz mi się to dziewczuszyko pokrzywia za plecami” – myślała, zastanawiając się przez moment, czy nie odwrócić się gwałtownie, by przyłapać na tym służącą. Wybrała jednak stateczną godność pani domu.

Pani Rossnowska pomyliła się jednak – tym razem dwie osoby w kuchni stroiły miny po jej wyjściu.

Z piętnastu minut zrobiła się ponad godzina i dopiero grubo po dziewiątej pani doktorowa razem z córką wyszły na ganek. Emilia podbiegła do klaczy, przytuliła do jej łba policzek i ukradkiem wsunęła kawałek cukru w koński pysk.

– Ja to widzę, panienko – powiedział ze śmiechem Szymon. – Rozpuści mi ją panienka jak jaki dziadowski bicz.

– Emilko, wsiadaj, proszę – odezwała się sucho matka.

Zatrzymały się na Tumskiej pod dziewiątym. Pod sosnową kuczka*, którą dobudował nowy właściciel kamienicy, było niewielkie okno wystawowe, w którym stały trzy damskie manekiny opięte ciasno otulinami w kolorze różowym, kremowym i białym. Zawieszona przed szybą blacha kiwała się na wietrze, to przybliżając, to oddalając wymalowany na niej napis:

* Kuczka – pomieszczenie lub wykusz na piętrze budowany przez ortodoksyjnych Żydów dla obchodzenia Święta Szałasów (Kuczek, Sukkot) upamiętniającego tułaczkę Narodu Wybranego.

Brana Taubenfligel

GORSECIARKA

Trzymały go w dziobach dwa metalowe gołębie z gorsecikami na brzuskach oraz rozpostartymi do lotu skrzydełkami.

Gdy pasażerki wysiadły z bryczki, pani Rossnowska ruszyła zdecydowanym krokiem do wejścia, a za nią, noga za nogą, sunęła córka. Zawsze uciekała do swego pokoiku na piętrze, kiedy z sypialni dochodził podniesiony głos matki: „Niechże Rozalka ciągnie z całych sił” – irytowała się pani Bogumiła. „Kiedyś siem boje, coby pani dychać zmogła” – odpowiadała czerwona z wysiłku dziewczyna, zaciągając sznurówki na plecach chlebobawczyni. „Już ty się o mnie nie bój. Zaprzyj się i ciągnij”.

„Nigdy na siebie czegoś takiego nie włożę” – przyrzekała sobie wtedy panna Rossnowska.

Gorseciarka Brana Taubenfligel była niewysoką, dość pulchną kobietą o zadziwiająco wąskiej talii, co przy jej tuszy stanowiło najlepszą reklamę szytej przez nią bielizny. Na głowie miała *sajtl** z pięknych miedzianobrazowych włosów, ozdobiony delikatną siateczką z drobnymi kremowymi koralikami, a spod peruki spoglądały na Emilię czarne świdrujące oczka taksujące jej szczupłą figurę.

– Tu nie będzie kłopot.

Zauważyła złęknięte spojrzenie dziewczyny, która rozglądała się po stojących wokół manekinach zasznurowanych w gotowe gorsety. Na kilku stołach pracownice obszywały kolejne płótnem, jedwabiem, kaszmirem, satyną lub delikatną cielejącą skórką.

– Tu się nie ma co bać – uspokajała. – To tylko potrzebuje podkreślić piękną figurę panny doktorówny. – I nagle przyłożyła obie ręce do jej talii, a palce wpiły się tak boleśnie w kibić, że Emilia aż się wzdrygnęła.

* Jidysz: peruka.

„Hrabia mnie zdołał podnieść i to nie bolało” – przeszło jej przez myśl.

– Proszę nie rozpuszczać mi córki, pani Taubenfigel – powiedziała z uśmiechem pani Rossnowska. – Pozwoli pani, że zerknę na materiały – bardziej stwierdziła, niż spytała.

– Ależ pani doktorowa, pani nie potrzebuje mnie o to pytać.

– Poczekaj chwilę, córeczko.

Pani Bogumiła ruszyła w głąb pracowni i kolejno brała do ręki materiały, którymi obszywano gorsety, badała elastyczność wiklinowych, metalowych i trzciniowych prętów tworzących ażurowe rusztowania.

Na bocznym stole, wśród francuskich i niemieckich żurnali, zauważyła najnowszy numer „Gońca Płockiego”. Jej uwagę przykuł tytuł na pierwszej stronie: „Pikantny bal debutantek”.

Powstrzymując emocje i siłąc się na obojętność, od niechcienia sięgnęła po pismo. Wachlując się nim, krążyła między pracowniami. Jej wzrok przyciągnął wąski kaszmirowy gorset w bladomorelowym kolorze. Miał wprawdzie sznurówki z tyłu, ale jednocześnie pięć dużych metalowych haftek z przodu. Pani Bogumiła jedną dłonią nadal poruszała gazetę, drugą sprawdzała jakość materiału. Podeszła do gorseciarki, która bacznie obserwowała jej każdy krok.

– Tamten wygląda wdzięcznie...

– My to robimy dla córka samego pana Paweł Raystoff z Gostynina. – Gorseciarka zauważyła, że nazwisko nie robi na pani Rossnowskiej żadnego wrażenia. – No jakżesz?! Panna Raystoff też była wczoraj na ten bal. – Ściszyła głos. – Tyle że szpetna... Kudy jej do panienka. – Spojrzała na Emilię. – Ale na moje oko figura potrzebuje być taka sama – rzuciła. – Marylka, pójdz no tu z robótka. – Gorseciarka kiwnęła na rudą, bladą dziewczynę siedzącą pod oknem. – To sam najnowszy wynalazek pana Douglas z Ameryka... – ciągnęła, sięgając po gorset. – Pani doktorowa potrzebuje popatrzeć.

Demonstracyjnie zaczęła wyginać przednie listwy na wszystkie strony.

– Miękuchny. W sam raz dla panienka. – Pani Taubenfigel uśmiechnęła się do Emilii. – Te haftki potrzebują być wszyte w brykle z plecionki ze stalowego drutu. – Przyłożyła gorset do sukni Emilii. – Jak się raz z tyłu dobrze zasznurowe, to panienka potrzebuje tylko wstrzymać oddech i będzie mogła z przodu zapinać sama. – Zawiesiła głos. – Pani córuś warta ten cymes. – Spojrzała zachęcająco na panią Bogumiłę i pospiesznie wydała pomocnicy polecenie: – Niech Marylka weźmie panienka doktorówna do gotowalni i przymierzy to pannie.

Ruda dziewczyna bez słowa skłoniła głowę i cicho zwróciła się do Emilii:

– Panienka wybaczy, że pójde przodem. Musim przejść na tył domu, przez podwórze. Tam trza uważać, bo błoto. – Zarumieniła się.

Gorseciarka odprowadziła wzrokiem obie dziewczyny.

– Na moje oko potrzebuje być jak ulał. – I zaraz dodała konfidencjonalnie: – Pani Raystoff będzie tu z córka dopiero w piątek. Dziś poniedziałek. Marylka potrzebuje się tylko pospieszyć. – Potem, nachylając się do pani doktorowej, szepnęła przymilnie: – A pani doktorowa może zechce kawy, bo przymiarka *a bisl** potrwa.

Siedzą w niewielkim pokoju gorseciarki przy okrągłym stoliku, a z dzbanka unosi się zapach kawy. Pani Rossnowska wciąż się wachluje gazetą.

– A wie pani doktorowa, że ten Raystoff z Gostynina to oprócz dwie farbiarnie i córka ma jeszcze syn? – Gorseciarka uśmiecha się chytrze. – Przystojny młodzieniec. Na dwadzieścia lat mu idzie. – Pochyla się ku pani Rossnowskiej. – To potrzebuje być bardzo dobra partia... – Przysuwa się z krzesłem. – Znacznie bez-

* Jidysz: trochę.

pieczniejsza niż ten pułkownik... – Zawiesza głos. – Pani przecież wie, dlaczego tu przysłali pana hrabiego. – Urywa i spogląda na nią znacząco.

Pani Rossnowska milczy, tylko jej palce mocniej zaciskają się na gazecie.

„Oni tu wszystko wiedzą, i mój Augustyn, i nawet ta Żydówka, tylko ja nic nie wiem” – myśli rozżalona.

W gotowni są tylko we dwie. Emilia nie bardzo rozumie, co ma ze sobą zrobić.

– Panienska się rozbierze – mówi cicho Marylka. Widząc spe-szenie panny Rossnowskiej, dodaje: – Ja nie będę patrzeć.

– W Pitrze córka jakiego kupca, dostawcy dworu – pani Bogumiła słyszy głos gorseciarki – skończyłaby w maju szesna-ście lat.

– Skończyłaby? – pyta pani doktorowa.

– W marcu potrzebowała rzucić się do Newy z miłością do... – Pani Taubenfigel zawiesza głos.

Pytające spojrzenie.

Lekkie skinienie głową.

– Uwiódł ją nasz pan hrabia.

Milczenie.

– Zamiast sądu zesłano go do nas...

„Wielki Boże! I taki człowiek podnosił wczoraj Emilkę?!” Pani Rossnowskiej trudno złapać oddech.

Gorseciarka wstaje.

– Zostawię panią na chwilę. – Nalewa do filiżanki kawę. – Szanowna pani spokojnie się napije, a ja potrzebuję zerknąć, czy ten gorset nada się dla panna doktorówna.

Gdy tylko za gorseciarką zamykają się drzwi, pani Rossnowska rozkłada pomiętą gazetę. Szybko przebiega wzrokiem tekst.

Uspokaja się, odnotowując opis tego, jak Emilka ładnie tań-czyła i jak gustownie wyglądała.

Skulona w sobie Emilia stoi tylko w płóciennej koszuli. Patrzy spod oka na Marylkę, która poluzowuje sznurówki z tyłu gorsetu, rozpina przednie haftki i rozpościera go na całą szerokość.

„To wygląda jak jakiś olbrzymi chrabąszcz” – przemyka Emilii przez myśl.

Trochę niepokoi panią Bogumiłę sformułowanie, że finałowe *pas* wywarło wrażenie głównie na panach.

„Rozpustny pismak – pomstuje pani doktorowa. – I jeszcze do tego ten tytuł!”

Marylka od pleców otula pannę Rossnowską otwartym gorsetem.

– Niech panienka teraz to pozapina – słyszy Emilia głos dziewczyny.

Trzęsącymi się dłońmi sięga po oba brykle, przybliża je do siebie.

Jedną ręką przytrzymuje listwy, a drugą usiłuje zapiąć haftkę.

– Nie mogę trafić jedną ręką – mówi zakłopotana.

– Panienka pozwoli. – Marylka od tyłu obejmuje Emilię w pasie i szczepia środkową haftkę.

– Od tej trzeba zaczynać – radzi.

Pani Rossnowska czyta o tym, z jaką dezaprobatą wśród innych matek spotkały się zbyt śmiałe figury taneczne. Czuje nagle pulsowanie w skroniach.

Emilia opiera się rękoma o ścianę. Z tyłu słyszy sapanie Marylki, która z całej siły ściąga kolejne sploty sznurówki. Panna Rossnowska niemal traci oddech.

„Teraz bym nawet nie poczuła, że ktoś podnosi mnie do góry” – myśli z trudem, łapiąc powietrze.

– Układa się na paniencie jak rękawiczka – mówi zadowolona pani Taubenfligel, wchodząc do gotowalni.

Ostatnie zdanie pani Bogumiła musi czytać dwa razy. Litery skaczą jej przed oczami:

Któraś z pań suponowała nawet, że taneczna edukacja na pewnej płockiej pensji skandalizująco wybiega poza przyjęte w obyczajnym towarzystwie konwenanse.

Z trudem łapie oddech.

„Jak pan śmiał, nędzny pismaku, wplątać Emilkę w taki skandal!” W myślach policzkuje redaktora Czaplickiego.

Do pokoju wchodzi gorseciarka, a za nią sztywno Emilia. Dziewczyna ma teraz znacznie głębsze wcięcie w talii.

– Strasznie tu gorąco – mówi pani Bogumiła.

Szybkie ruchy gazetą.

– Zaraz przyniosę zimną limoniadę...

Stuknięcie zamykanych drzwi.

Pani Bogumiła ma ciągle przed oczami hrabiego Gołubojewa trzymającego w rękach jej córkę.

„Boże, jaki przewidujący jest ten mój Augustyn...” – myśli z podziwem, a zarazem poczuciem winy, że zawiódł ją kobiecy instynkt.

Emilia patrzy z niepokojem na matkę.

– Czy *maman* dobrze się czuje?

– Dobrze... Już dobrze, Emilko... – odpowiada pani Rossnowska, ale gazeta w jej ręku nie przestaje się poruszać.

Stojąca obok Emilia aż czuje na swojej twarzy ruch powietrza.

„Jak dobrze, że *maman* się wachluje. Łatwiej mi oddychać – myśli, dotykając bezwiednie swojej opancerzonej talii. – Ale nigdy nie będę umiała w tym zatańczyć”. Próbuje głębiej wciągnąć powietrze.